



MKD 91485

PROMIEN SZKOLNY

DWUTYGODNIK
WYDAWANY
PRZEZ UCZNIÓW
GIMNAZJUM
T. CZACKIEGO.

Nr 4.

19 marca 1938 r.

Rok VII.

Miejsce urodzenia Wodza.



Zułów.

Naród Polski jęczał zakuty w kajdany, trwał pod bagnietem rosyjskim w niemocy. Płynęły lata szare, jednostajne, okryte kirem żałobnych jęków. Na ich dźwięk zrywały się orły polskie do lotu. Niestety. Złapane w potrzask rosyjski musiały milczeć i cierpieć, znosząc ból niewymowny ciężkiej niewoli. Z latami bielity się na polach samotne kości poległych, sterczały dziko z wykrzywionym uśmiechem pogardy, błyszcząc w słońcu. Na cmentarzach rosły czarne mogiły; w cieniu czarnych wysmukłych sosen, krzyż wznosił do góry swe ramiona. Zdawało się, że prosił o litość.

Czas płynął. Płynęły szare, jednostajne dni życia polskiego.

W cztery lata po pamiętnym dla dusz polskich roku ziemia wileńska, wydała na świat przyszłego wyswobodziciela znękaney Ojczyzny. Urodził się On w Żułowie. Życie Jego od pierwszych chwil było ciekawe. Jako małe pacholę miał duszę wielkiego. — Marzył w dzieciństwie o wielkich walkach na śmierć i życie. Myślał o bohaterach takich jak Miltiades, Napoleon, Temistokles. Te postacie porywały Go i natchnęły marzeniem o przyszłej wielkości. W Jego duszy tkwił zew krwi rycerskiej walecznych przodków, zew, który Go pędził w kierunku szlachetnej wielkości. On rozważny, mały Ziuk lubił mówić o walkach i często zapytywał samego siebie, dlaczego Polacy nie zwyciężali. Siadał często w cieniu szumiących lip i słuchał opowiadań matki. O walkach za Polskę, o przodkach, którzy złożyli swe życie na stos ofiarny za wolność Ojczyzny. A On patrzył w dal, jeno Mu się oczy skrzyły i już może myślał nad losem swego kraju...

...A po latach...

Zardzewiałe polskie miecze, chowane często w piwnicach i na strychach, zabłyśły w słońcu w ręku polskich legionistów. Na ustach ich brzmiała pieśń «My pierwsza brygada.» Jej głęboki, sens porywał dusze szarych żołnierzy do walki i świecił im aureolą zwycię-

stwa. A na ich czele szedł On, Wódz i podsycił instynkt walk nieustanną żądzą zwycięstwa. On, Komendant Piłsudski. Idąc naprzód wygrywał, a za nim brzmiało echo wojennej polskiej pieśni. Tak posuwają się Legiony naprzód o chłódzie i głodzie. Z złowrogim świstem padają kule, pękają granaty, huczą działa, powietrze kotłuje się, ziemia drży od wstrząsu. Trzask, pisk, huk, świst kul, jęki i wołania. Ranni i konający, trupy i żywi — wszystko to miesza się ze sobą, tworząc obraz strasznego dramatu. A wśród tej wrzawy, słowo zachęty od Wodza pali się w żołnierzach i wybucha chwałą pieśni nowego zwycięstwa.

Nastaje noc. W namiocie Komendanta pali się jeszcze światło. Przy stole siedzi On sam. Jego miłość do żołnierzy spędziła Mu sen z powiek i osadziła go tu na posterunku ich bezpieczeństwa.

Tak w Legionach płynęły dni, tygodnie, i wreszcie nasz Wódz wywalczył Ojczyznę. Ludzie nienawistni nazwali Wodza i Legiony szaleńcami. Może i słusznie. Bo któż odważyłby się z łódką puścić w odmęty oceanu i wyłowić z dna morskiego chwast. To niemożliwe. Czekająca go śmierć. A Ty Wodzu, z garstką żołnierzy puściłeś się w wir szalejącej walki i swą odwagą, poświęceniem i miłością wydobyłeś z tych otchłani Ojczyznę, której tak pragnęłeś. Chciałeś powiedzieć światu, że Polska z mroków powstała — patrz świecie — to Polacy! O Wodzu! My młodzi winniśmy Ci cześć! Wielbimy Cię jak Cezara, Napoleona, Leonidasa. Geniusz Twój tej epoki jest większy od tamtych. Cóż my Ci damy za to Kochany Wodzu? Będziemy stali na straży Twej czci. I Tak jak Ty kochałeś Polskę, boś Jej poświęcił Swoje życie, tak i my, kiedy zajdzie potrzeba, oddamy życie za Nią z radością idąc do Ciebie.

A. Mitraszewski.

Marszałek Śmigły-Rydz.

Kiedy przed trzema laty przestało bić wielkie serce Marszałka Piłsudskiego, oczy całej Polski zwróciły się na Jego następcę. Kim był? Dlaczego właśnie On był najbardziej godny zajęcia tego zaszczytnego stanowiska? Mówiły za niego czyny! Od wczesnych lat widzimy Go u boku Marszałka przy niebezpiecznej, a jakże odpowiedzialnej pracy w «Strzelcu». W tym «Strzelcu», który w odpowiednim momencie miał zacząć walkę o wolność Ojczyzny.

Później, w szeregach Pierwszej Brygady, na najodpowiedzialniejszych stanowiskach w armii, zawsze jest On — Śmigły! To On zajmuje Kijów! On jest przy zdobywaniu Wilna, za którym tak tęsknił Marszałek Piłsudski, On wreszcie pieczętuje nasze zwycięstwo, rozbijając armię bolszewicką nad Bugiem. Kierowany dłonią Mistrza i przygotowany przez Niego do wielkich zadań, On przejmuje spuściznę po Marszałku. Razem z p. Prezydentem dzierży ster losów Polski, prowadząc Ją ku lepszej przyszłości. Na tym stanowisku cieszy się posiadaniem zaufania i serc wszystkich Polaków, ufnych w to co nastąpi, skoro On — Śmigły kieruje.

I w dniu Twych Imienin, panie Marszałku, cała młodzież polska składa Ci życzenia jak najdłuższej, owocnej pracy dla Państwa.

Jerzy Sołński kl. III.

Wspomnienia...

Po nadzwyczaj mile spędzonej nocy w III klasie, «poc. osob. Nr 11», który możnaby nazwać od trzech przedziałów (przepraszam, od dwóch przedziałów; w trzecim spał pan prof. Tysza) pociągiem «narty-preferek» lub «narty-oko», znaleźli się wszyscy uczestnicy wycieczki kl. VIII naszego gimnazjum w polskiej stolicy sportów zimowych. Ze stacji udaliśmy się do schroniska im. księdza Stolarczyka, gdzie zajęliśmy łóżka, ustawione bardzo pomysłowo pod ścianami. Ponieważ pod oknem i przy drzwiach nie można było ich ustawić, więc zapewne dlatego, aby tą olbrzymią stosunkowo stratą miejsca powetować sobie, na pierwszej warstwie łóżek spoczywała druga... Załatwiwszy wszelkie formalności w schronisku, poszliśmy na pobliskie wzgórze zwane Koziniec (lub nieoficjalnie «żydowskim Giewontem»). Tam 99,9(9)% naszych kolegów dawało niezwykle efektowne pokazy jazdy figurowej (właściwie hamowania «stylem dowolnym») na nartach. Wkrótce spostrzegłem drugie ciekawe zjawisko, a mianowicie, jeden z najwięcej «zasłużonych» kolegów w naszej klasie towarzyszył pewnej ładnej zresztą «Fräulein» i co najciekawsze rozmawiał z nią po niemiecku (!), conajmniej dziesięć razy płynniej niż na lekcji tego języka w szkole.

.

Drugą noc poza domem mieliśmy również bardzo urozmaiconą. Toczyły się zaciekle dysputy o «irracjonalizmie idealizmu Platona», ktoś równocześnie czytał półgłosem «Faraona», ktoś inny znowuż wyprowadzał C kombinacji z n elementów pok., a temu wszystkiemu towarzyszyły miarowe podrzuty kolegów, śpiących «na piętrze», powodowane energicznymi «wyprostami» nóg towarzyszy śpiących pod nimi, którzy oparli swoje dolne członki o sprężyny łóżek, tworzących «wyższą warstwę». Pomimo tak miłego nastroju, spotęgowanego przez jednego brunecika, który zaczął czarownym wprost kontraltem nucić: «Nad brzegiem Wisły, goniąc spojrzeniem, siedzi Marianna ze swoim Heniem» wszyscy — o zgrozo — zasnęli.

Drugiego dnia udaliśmy się na Kalatową Halę, gdzie niektórzy koledzy tak fenomenalne poczynili postępy, że wybitnie odróżniali się od swych towarzyszy brawurowymi «krapkami» (nie mieszać z kristianiami!), a właściwie przecinkami. Podziwialiśmy «Suchy Żleb», a jeszcze więcej schronisko im A. Bobkowskiego, które budziło pożądanie... dobrego obiadu. To też po przyjeździe do Zakopanego apetyt mieliśmy tak doskonały, że podany nam obiad «zginął bez śladu», jeżeli zapomnimy o złamanej łyżce przez jednego z naszych czołowych narciarzy, który ze zbytnią

wydajnością (n) konsumował podaną supę. Resztę dnia spędziliśmy, jak i dnia poprzedniego, na odpoczynku. Inaczej zato przedstawiała się noc, bowiem mieszkańcy «pierwszego piętra», bojąc się zachorować na «morską chorobę» wskutek ustawicznego bujania przez «dolinarzy» (słowo to tym razem oznacza kolegów śpiących na «parterze»), zaopatrzyli się w kubki z wodą i gdy podrzucano ich zbyt wysoko, to uchylali sienniki i wylewali swym miłym kolegom leżącym na dole ok. 200 cm³ H₂O aq.

Trzeciego dnia udaliśmy się przez Kuźnicę, drogą jezdnią do wylotu pierwszy raz urządzonej, a zarazem jedynej w Tatrach trasy zjazdowej (nartostrady), skąd skręciliśmy w prawo na Halę Kondratową. W schronisku na hali dałem moim kolegom bezpłatny pokaz konsumowania gorącej kiełbasy z kapustą i kwaśnym mlekiem, po czym zjeżdżaliśmy na pobliskich zboczach. Wycieczka ta dostarczyła nam dużo wrażeń; poznaliśmy piękne «holwegi» (wąskie drogi wśród regli) i zobaczyliśmy «zbliska» Giewont, widziany teraz z odwrotnej strony niż dotąd i Czerwone Wierchy. Bardzo dużo emocji dostarczyło nam również zginiecie jednego z kolegów (tego, co jeździł z «Fräulein»), którego spotkało nasze «pogotowie tatrzańskie», powracającego na furce obok panny młodej. Okazało się bowiem, że z powodu pęknięcia wiązania od narty, musiał on pozostać na Kondratowej skąd zabrało go, wyjeżdżające akurat stamtąd wesele góralskie.

Czwarty dzień przeznaczony był na odpoczynek, to też zjeżdżaliśmy tylko z pobliskiej Antałówki (sąsiadka Kozińca). Wieczór spędziliśmy na «Pokazie jazdy figurowej na lodzie». W imprezie tej wzięli udział mistrzowie świata, to też nic dziwnego, że chwile spędzone na Małym Stadionie należą do najprzyjemniejszych wspomnień.

Piątego dnia poszliśmy na Halę Goryczkową. Ale podczas marszu z Kuźnic w kierunku «Popularnego szlaku narciarskiego» spotkał nas «pech»: zastąpiło nam drogę kilku muskularnych panów, domagających się zapłacenia 2 zł. «od łepka» «tytułem kosztów» karty wstępu na «Zawody narciarskie o mistrzostwo Polski». Droga ta bowiem prowadziła do trasy zjazdowej. Ponieważ nikt tego uczynić nie zamierzał, udaliśmy się pod przewodnictwem «obywatela instruktora» (pana prof. Tyszki) w prawo przez potoczek... do smreków. Pod zwisającymi nisko gałęziami, obsypanymi grubą warstwą śniegu (dlaczego on za koźnierem zaraz topnieje!?) dotarliśmy do doliny Goryczkowej. Tutaj część kolegów rozebrała się do pasa, korzystając z pięknego słońca i kazała pozostałym uwiecznić ten swój wyczyn na kliszy fotograficznej. Zjazd z Hali Gąsienicowej nartostradą był o tyle urozmaicony, że przy końcu zamknęto ją mocną liną, mającą zapewne na celu powstrzyma-

nie... narciarzy jeżdżących słabiej przed wpadnięciem na tor zjazdowy. Lina ta miała duże powodzenie i cieszyła się dużą frekwencją osób, zapoznających się z nią bliżej... Po obserwowaniu kończących się właśnie zjazdów (narciarze, jadący od Hali Goryczkowej, nie mieli obowiązku kupowania biletów) powróciliśmy do Zakopanego.

Szóstego dnia «kurziło» tak strasznie, że z odległości jakichś trzech kroków nie można było odróżnić Senatora od Luboińskiego. Pomimo tego pojechaliśmy na Kasprowy Wierch i obserwowaliśmy stamtąd jak pan prof. Tyszką z pięcioma kolegami «topili» się w «mleku». Po «utopieniu» się wyżej wspomnianych, zjechaliśmy kolejką na Myślinieckie Turnie, skąd udaliśmy się (na nartach!) na Halę Goryczkową. Po drodze spotkał nas pan profesor i wyprowadził ponad sztafasy na hali. I tu dopiero zaczęła się tragedia. Kurniawa wprawdzie przeszła, ale stromy zjazd pozostał. W słońcu, które wyrzało na chwilę, widać było wyraźnie, jak niektórzy koledzy jeździli to w prawo, to w lewo, ale do dołu nie posunęli się nawet o metr. Widząc to, zacząłem «schodkować», ale w pewnej chwili zobaczyłem stojącego na dole «obywatela instruktora». Spostrzegłszy grożące mi niebezpieczeństwo «pochwały za dobrą jazdę» postanowiłem zjechać «szusem». Ale jazda taka miała tę niedogodność, że niebawem rozwinąłem szybkość większą od pociągu pośpiesznego; musiałem usiąść na nartach, aby się nie przewrócić. Znowu wtedy pewno ktoś patrzył się na mnie, ale teraz musiałem «terminowo» rozwiązać nowy ważny problem, a mianowicie — dochodzące do moich uszu głosy usługujących kolegów: Uwaga! Schronisko!!! Przypomniały mi że trzeba się zatrzymać. Z kłopotu tego wybawił mnie jakiś pan, który przewrócił się o parę metrów ode mnie. Poszedłem w jego ślady i schronisko J. Polaka ocalało. Z Hali Goryczkowej zjechaliśmy na Kalatową, gdzie podziwialiśmy piękny «ślalom», będący częścią wspomnianych poprzednio mistrzostw narciarskich.

Wieczorem spotkał nas bardzo przykry wypadek... wyjechaliśmy do Warszawy.

L. Lisiecki.

Wiosna.

Minęła już oszroniona karnawału bajka.
Poszła zima roziskrzona, ośnieżona, rozbawiona,
Wiosennego usłyszała grajka.

Tylko jeszcze resztki śniegu na polach topnieją,
Padają wiosenne deszcze, padają jeszcze i jeszcze,
I wichry wciąż wieją.

Coraz rankiem wyrzy słonko i o wiosnie gada,
Ale wnet sępiaste chmury, rzucą cień na szare mury,
I deszcz się rozpada.

Na drzewach nabrzmiąte pąki ledwie że nie pęką.
Wnet wybuchnie jabłoń kwiatem, wdzieje swą godową
szatę,
I znów będzie piękną.

«KIBITZ».

Sen o miłości.

Nie wiem, jak to się stało, dość, że mówiliśmy o snach. Nie widziałem Harry Fowlera od naszych czasów studenckich, no, i po tylu latach niewidzenia się, mogliśmy mieć całkiem inne tematy rozmowy. Jednakże już po dziesięciu minutach pierwszej radości z tego nieoczekiwanego spotkania, w czasie których tyle się mówiło, a nic się nie powiedziało, siedzieliśmy w kawiarni, no i mówiliśmy o snach.

«Już jakoś się tak dziwnie składa, — powiedziałem — «że czasem jest we śnie wszystko dokładnie jak w życiu, czasem znów całkiem odwrotnie. Zawsze jednak istnieje między snem a życiem jakiś stosunek... zdarza się, że w przeciągu pięciu sekund przysni się człowiekowi jego całe życie».

«Harry skinął zamyślony. «Zupełnie słusznie... Mnie się to też zdarzyło... właściwie całkiem powszedni sen..., ale pytam się siebie ciągle, co chciał mi przezeń los powiedzieć, bo że w ogóle chciał coś powiedzieć — to pewne».

«No, dalej, dalej» — zachęcałem go z niecierpliwością.

«Poznałem w pewnym towarzystwie jedną pannę, — nazywała się Helly. Całkiem rozkoszne stworzenie... w końcu odprowadziłem ją do domu. Potym poszedłem do siebie do mieszkanka i zmęczony natychmiast zasnąłem. O kim — jak ci się zdaje — śniłem?» «O tej Helly, to przecież całkiem naturalne».

«No tak, naturalne czy nie, śniłem o niej i to w najbardziej różowych barwach. Zakochałem się wprost w mojej wyśnionej Helly. Posiadała ona wszystkie zalety, o jakich śmiałem marzyć, myśląc o dziewczynie. Była łagodna, do tego domatorka i czytała mi każdą myśl z oczu...»

«Tak, i dzieliła z tobą każdy smutek i radość, — to mogę sobie już wyobrazić. Co dalej?» «Nie bądź taki niecierpliwy! Przedstawiła mnie swoim rodzicom. Matka była taka, jakiej sobie zawsze życzyłem...» «No tak, wielka mi sztuka! we śnie!» — «Nie przerywaj mi do diaska! Gdzie ja to byłem?» — «U wyśnionej teściowej».

«Ach tak. Ojciec to był morowy chłop i dawał do zrozumienia, że jego córka dostaje pięćdziesiąt tysięcy... Przy tym była to skromna panna, sama gotowała, sama sobie szyła suknie, nie grała w brydża, nie paliła...» «No dobrze, wszystkie cnoty — mogę sobie wyobrazić... typowy sen-marzenie.

Co dalej?» «Ach ty z tym swoim ciągłym co-dalej!» No to słuchaj. Powiedziałem sobie więc: ta, albo żadna... i pewnego dnia ogoliłem się specjalnie dobrze, poszedłem do kwiaciarni i kupiłem piękne, różowawo-żółte róże i...»

«Potem widziałeś siebie, idącego do rodziców i proszącego o rękę Helly...» «Słusznie. Dokładnie tak samo. Ojciec padł mi w objęcia, matka też, a co dopiero Helly. No, po co mam cię trzymać dłużej w napięciu: wzięliśmy ślub! Biała suknia, wozy ozdobione kwiatami, ucztę weselną, gratulacje członków rodziny...» — «Mogę sobie wszystko wyobrazić. A potem?» — «Potem wybraliśmy się w podróż poślubną.

Neapol... Rzym... Sycylia... obrazy pełne słońca i błękitu nieba...» — «To jest przecież piękne...» — «Tak, ale nagle zaczęło się wszystko dziać inaczej. Na przykład kolor włosów Helly. Raz była brunetką, raz blondyną, potem znów brunetką...»

«No tak, ja sam widziałem mego pudła, jako komornika i pogłaskałem go nawet...»

«Potem zmieniła Helly także swoje przymioty. Stała się nagle władczą, kapryśną, biegała gdzieś po mieście przez cały dzień, kupowała wszystko co tylko możliwe: rzeczy, których w ogóle nie mogliśmy potrzebować. Często biegałem za nią po mieście i nie mogłem jej znaleźć.» — «To jest przecież typowe...»

— «Paliła, grała w karty, siedziała cały dzień u krawcowej.

Matka stała się poprostu plagą, przychodziła zawsze o niefortunnej porze, podburzała Helly przeciwko mnie. Ojciec nie wspominał ani słówkiem o posagu — i gdy ja zrobiłem lekką aluzję w tej sprawie, to wybuchła burza, jakbym Bóg wie czego żądał.

I raz pewnego siedziałem o zmroku przy moim biurku, Helly nie było naturalnie w domu, a ja myślałem właśnie o losie małżonka, a tu nagle dzwoni ktoś głośno i długo i bardzo energicznie...»

«I ty się budzisz... nieprawdaż?»

Harry spojrzał na mnie zbity z tropu.

«Ja...? Ja się budzę...?» powtórzył bezwiednie.

«Ach z tym twoim przerywaniem! Można zbzikować. Co to ma znaczyć: ja się budzę? Opowiadam ci przecież od dłuższego czasu o mojej surowej i gorzkiej rzeczywistości.

Obudziłem się już w tym miejscu, nim poprosiłem Helly o rękę!...»

Z «Neues Wiener Journal»
przetłumaczył «Z.»

«Promień» jest naszym pisemkiem, jak słusznie zaznaczył kol. Mitraszewski w swym wstępnym artykule pierwszego numeru. «Promień» jest naszym pismem, w którym powinno odbijać się też nasze szkolne życie. Wychodząc z tego założenia, myślę, że koledze Jastrowi należą się słowa uznania wyrażone właśnie na łamach naszego szkolnego pisma.

To nie jest wszystko, jeżeli się posiada pewne uzdolnienia i umiejętność i jeżeli te uzdolnienia przynoszą osobiste egoistyczne zadowolenie. Satysfakcją jest, gdy owoce tych umiejętności służą szerszemu ogółowi.

Dekoracja sali w czasie zabawy klas I Lic. i IV-ych są właśnie tymi owocami uzdolnień kolegi Jastrza, których on nie poskąpił nam, swoim kolegom, swojej szkole.

Ciągle bezwiednie szukamy nastroju, barwnego tła przeżywanych chwil. Optyczne, harmonijne wrażenia w czasie zabawy szkolnej zawdzięczamy Jastrowi. Nasz kolega w swym rozporządzeniu miał swe zdolności, trochę papieru i kredy, kilka godzin czasu pracy i... dobrą wolę. Lecz rozporządzając tymi środkami jedynie, potrafił oświetlić naszą szkolną zabawę.

Dekoracje odgrywają wielką rolę w zdarzeniach przeżywanych. W migawkowym tempie naszego życia, przyzwyczajaliśmy się utrwać w pamięci nasze przeżycia za pomocą charakterystycznych barw i dźwięków, towarzyszących danej chwili. Ilustracje pism, sprawozdania i reportaże podawane nam bezustannie w prasie, przez radio i kino zmuszają nas do przyjmowania udziału w wydarzeniach politycznych, obchodach poważnych, radosnych lub smutnych, odbywających się na całym świecie. Często daje się zauważyć pewną teatralność, pewną sztuczność tych obchodów, czy też pełną harmonię otoczenia, dekoracji do przeżywanego nastroju. Słyszałem, że gama zmieniających się świateł, od dołu oświetlone srebrzyste fontanny, dekoracyjne dymy, zasnuwające co pewien czas teren, sztuczne ognie i harmonijnie dobrana muzyka do zmieniających się barw i odcieni, tworzyły niezatarte wrażenia na wystawie Paryskiej.

Lecz, wracając do wrażeń przez nas osobiście przeżywanych, przypomnijmy sobie maj 1935 r. i wygląd Warszawy przez tydzień po zgonie Marszałka.

Chcę przypomnieć tylko wrażenia wzrokowe, bo one potęgowały grozę przeżywanych chwil. Kiry, zwisające z wysokich masztów i spływające z wielopiętrowych gmachów na przemian z narodowymi sztandarami, tworzące gęsty szpaler ostatniej drogi Marszałka na pole rewii, poważnie ilustrowały przeżycia narodu.

Chcę też zwrócić uwagę na pewien drobiazg w czasie przejazdu regenta Horthy'ego przez Warszawę.

Małe skupienia chorągiewek na latarniach Krakowskiego Przedmieścia były umieszczone w taki sposób, że tworzyły jakiś niefrasobliwy, lekki nastrój ulicy

Upamiętniając sobie te wszystkie chwile, widzimy, że w przyszłości życie będzie domagało się od uzdolnionych w tym kierunku umiejętnej ilustracji przeżywanego.

Dobrze, jeżeli próbuje się swoich sił już teraz, na terenie szkoły, gdyż życie nasze obecnie jest najściślej z nią związane.

W. Stankiewicz.

KL. I LIC. W MARCU.

Jesteśmy w toku rozmów w sprawie ufundowania biblioteki licealnej.

Ma ona powstać z 50 gr. składek miesięcznych, wpłacanych przez naszą klasę. W ten sposób po roku będziemy mieli do rozporządzenia, a potem przekazemy następnym klasom licealnym kilkadziesiąt tomów najcenniejszych dzieł literatury pięknej. Jeżeli nasza myśl znajdzie w przyszłości zwolenników, biblioteka licealna naszej szkoły za kilka lat może liczyć kilkadziesiąt tomów najpiękniejszych, najwartościowszych książek.

Z pewnym wzruszeniem myślimy o «narodzinach» naszej biblioteki, o wędrowce przez nas wybranych dzieł z półek księgarni do naszej klasy.

Przyniosą one ze sobą cień tego specjalnego nastroju, jaki roztaczają, będąc w wielkich skupieniach i jakim owiane są biblioteki, czytelnie, księgarnie.

Będą służyć nam, którzy przez szereg lat stanowiliśmy «naszą klasę», a potem kolegom młodszemu, znanemu i nieznanemu.

Kilkadziesiąt «naszych» książek na półkach biblioteki licealnej, to jeszcze jeden ślad, jaki pozostawimy po sobie w naszej szkole.

W. Stankiewicz.

Karol Hubert Rostworowski.

W ubiegłym miesiącu zmarł K. H. Rostworowski. Na kilka tygodni przed swym zgonem ustąpił z Polskiej Akademii Literatury, aby miejsce jego godnie zajęli młodszy.

Karol Hubert Rostworowski, twórca «Kaliguli» i «Judasza», był jednym z najznakomitszych współczesnych dramaturgów. Niezwykła była jego dziedzina zainteresowań. Wbrew modzie i prądom dzisiejszej twórczości, nie szukał on problemów wśród okruczeństw życia dzisiejszego, lecz w szczytach namiętności i woli w mrokach duchowej niedoskonałości i nieszczęścia człowieka.

Całą jego, blisko czterdziestoletnią twórczość pasjonuje zagadnienie wewnętrznej walki człowieka między dwoma elementami duszy: dążeniem do wzniesienia się doskonalszego, a niskimi żądzami, które uniemożliwiają wzloty.

«Uczłowiecza» czasami swe postacie, wynosi je, lecz przeważa w sztukach jego brutalny naturalizm. Z bolesną prawdą przedstawia środowisko chłopskie, nacechowane pożądliwym pragnieniem złota. Nikt nie zdobywał się na taki realizm, na tony tak jaskrawe w zakresie środowiska wsi — jak Rostworowski w «Niespodziance», gdy odtwarza nagą, brutalną grę instynktów — to ponury dramat reemigranta z Ameryki, zamordowanego przez własnych rodziców, nie przeczuwających, że przybysz, zasobny w dolary, jest ich synem. Odkrywa się w Rostworowskim i liryk, szukający w religijności ucieczki od zwątpienia o ludziach i o prawdzie o życiu.

Pod pozorem chłodnego obiektywizmu, ukrywał się liryk namiętny, pełen litości dla nędzy stworzenia, ufny w zwycięstwo pozagrobowe etyki chrześcijaństwa.

Na przestrzeni trzydziestosiedmioletniej twórczości (od pierwszego tomiku wierszy, nazwanego samokrytycznie «Tandeta», wydanego w 1901 r.) wielkiego talentu dążył do symbolicznego, teatralnego ujęcia naszej współczesności.

Niespodziewana śmierć przerwała namiętną, nieraz natchnioną, zawsze głęboką, uczciwą i wysoce artystyczną pracę twórczą znakomitego pisarza.

Sz. Kaper.

Król Kazimierz.

(Ciąg dalszy).

Wielkie radosne słońce odbijało się w szarej Wiśle. Fale rażno biegly w nieznane dalekie strony.

Wspaniały i imponujący był widok szerokiej, dzikiej rzeki pośród czarnej masy puszczy. Woda szarpała brzegi, burzyła się przy nich i cofała, by zebrać siły na nowy szturm.

Długim sznurem zwolna płynęły tratwy. Prąd je niósł, ale zdawało się, że one panowały nad żywiołem. A gdy woda rzucić je chciała na brzeg, zgnieść i rozbić, poruszały się brązowe sylwetki oryli, wyciągały się do brzegu długie drągi, by odepchnąć tratwę w wir.

Gdy na wzgórzu ponad lasem ukazała się chata Warsa królująca nad okolicą, a w drzwiach stanęła kobieta, roześmieli się radośnie flisacy.

— Warz nową strawę, warz, Sawo! — wołali wesóło — Głodni wracamy! Warz Sawo!

— Hulaj! O, hooo! Hulaj — wołały znów głosy.

Słuchały tego głucho puszcze nadwiślańskie. Milczały drzewa. Tylko gdzieś z głębi słychać było szelest. Trzeszczały suche gałęzie.

Szeregiem przeciskały się między drzewami wąską dróżką wozy. Skakały czasem na wystających korzeniach, zapadały się nagle w doły i nory, potem kołysały się na piaskach.

— Daleko do Rybaków? — pytała starsza kobieta w chustce na głowie siedząca na pierwszym wozie.

Wieśniak którego właśnie wozy mijały zatrzymał się usunął się na bok i podniósł głowę.

— Jeno patrzeć! Ja właśnie tam idę — odrzekł — Prosto droga wiedzie pod krzyżem.

Kobiecina posunęła się robiąc miejsce na furze.

— Siadajcie, to se podjedziecie. Pokażecie i nam drogę, byśmy nie zabłądzili.

Chłop zręcznie wskoczył na deskę.

— Pewno do tej nowej Warszawy, którą przy starym grodzie zakładają, jedziecie? O, wielka to będzie pewnikiem osada, skoro nią się sam król zajął.

— A tak. Wszyscy tu jedziemy. Chodzą słuchy, że tu sam wielki pan przyjedzie i nijakiej biedy nie będzie. Wy stąd, kumie? A widzieliście króla?

— A Juści. Wielki to pan. Piękny, kiejby święty z kościoła. Dzieci gospodarza Warsa do Chrztu św. trzymał. Obdarował je potym kosztownościami i ślicznościami, jakich starzy

nie widzieli. Teraz koło starego grodziska rynek wyrysowano na ziemi, a tam, koło Rybaków pogański gaj wycinają. Pono tu, gdzie świątynia pogańska stoi, Najświętszej Panience wielgaśny kościół mają wystawić. Słuchają jeno, bo już słysząc drwali w Bóg — gaju.

Rzeczywiście echo niosło zdala głuche uderzenia toporów. Uderzało żelazo miarowo i jednostajnie w grube pnie drzew.

Zamilkło tu życie puszczy. Schroniła się gdzieś zwierzyna, uciekło ptactwo leśne! Topór drwala zwyciężał przyrodę. Kładły się potężne drzewa pogańskim bogom poświęcone. Pękały potężne konary.

Podróżni zostawili wozy i oglądali wznoszącą się osadę. Rozmawiali z ludem pracującym, oglądali nieskończone chaty za grodem. Oglądali przy nowym wytyczonym rynku kaplicę, w której król Kazimierz dzieci Warsz do Chrztu św. trzymał i kamienną rzeźbę tych bliźniąt w jego rękach, wmurowaną w ścianę.

Aż nagle od strony gaju krzyk jakiś wstrząsnął powietrzem. Był to krzyk rozpacz i bólu, ale groźny zarazem, krzyk straszny.

Zerwali się wieśniacy i biegli w tę stronę.

Pod wyniosłym posągiem Światowida stał starzec z lirą w dłoni. Włosy i brodę jak śnieg białą wiatr mu szarpał. Na pomarszczonej twarzy i przygasłych już oczach malowała się rozpacz. Własną pierś i całym sobą chciał zasłonić bóstwo.

Cofnęli się drwale nie zdecydowani. Opuścili topory w Światowida skierowane. On krzyczał:

— Nie damy zniszczyć Światowida! Pierw mnie zabijcie! Niszczycie Bóg-gaj święty, niszczycie mą świątynię, ale dopóki ja, stary, żyję, nie dam zniszczyć posągu. Nmie pierw zabijcie!

Wahali się robotnicy. Stali milczący. Znieruchomieli drwale zbliżył się i Warsz stary. Kilku młodych i silnych wzięło lirnika za ramiona i odprowadzili na stronę. Lirnik opierał się zrazu. Ale Warsz go objął serdecznie i długo coś mówiąc o prawdziwej wierze prowadził pót przytomnego w głąb lasu. Starzec słuchał milczący, lecz jakby nieprzytomny. Patrzył przed siebie błędnym wzrokiem i nic nie widział.

Ze współczuciem patrzyli za nimi drwale przy posągu. Ale gdy starcy oddalili się, ujeli znów topory.

Kilka głuchych uderzeń i ostatni Światowid na Mazowszu z trzaskiem upadł na ziemię.

Lirnik krzyknął strasznie i zakrył oczy. Znieruchomił na chwilę. Potem wysunął się Warszowi i pobiegł na ślepo w głąb puszczy. Biegł coraz dalej jak opętany. W oczach tłumy mąlał, aż zginął między drzewami.

W milczeniu dalej pracowano. Znów głucho biły topory, pękało drzewo, ale już śpiewy i rozmowy wesole przy pracy na długó umilkły.

Powrócił Warsz na wzgórze, rozmawiał z wieśniakami. I zdawało się, że już zapomniano o lirniku. Runęła już świątynia. Na stos niesiono resztki zniszczonych bałwanów. A gdy zbijał się wieczór, stos zapalono. W czerwonym blasku zgromadzili się wieśniacy. Gawędzili o czymś jeszcze.

Nagle od strony lasu przybiegł chłopiec kilkunastoletni. Twarz miał przerażoną i bladą.

— On leży... tam... pod drzewem... nie żywy...

Porwali się chłopci.

— Kto?

— On, lirnik, poganin...

Pobiegli wszyscy prawie.

Pod pochylanym starym drzewem w blasku zachodzącego słońca leżał starzec. Twarz miał białą i stężałą, usta boleśnie skrzywione, a oczy martwe, szeroko otwarte i straszne...

Tak zginął ostatni poganin, ostatni czciciel Światowida.

* * *

Zjeżdżali się ludzie z okolic. Przyjeżdżały wozy. Szły tłumy podziwiać nową Warszawę.

Dookoła wzgórza, gdzie spalono ostatnie bóstwa pogańskie, rosnęło już miasto. Na szczycie wzgórza, wysoko ponad Wisłą i ponad lasami królował nowy kościół Panny Marii.

W kościele śpiewano.

W całym miasteczku był ruch niemały. Wszak król miał przyjechać. Gotowano przyjęcie.

(Dokończenie nastąpi).

KOŁO GEOGRAFICZNO-KRAJOZNAWCZE.

Piękno Wołynia.

(Wyjętek z listu z Równego od organizakcji «Młodej Hromady» przy gimnazjum ukraińskim, z którą Koło nasze prowadzi korespondencję).

... nasz stary i kochany Wołyń jest rzeczywiście piękny tak, jak go opisują nasi powieściopisarze.

Zacznijmy od tego, że urządzimy sobie wycieczkę po mieście Równem. Rozpoczynamy z Grabika. Grabik jest to, jak pisaliśmy poprzednio, jedna z dzielnic naszego miasta. Cen-

trum Równego jest położone w kotlinie. Dolina rzeki Ujście «łączy Równe ze światem». Ujście płynie w kierunku północnym. Na wschód od prawego brzegu rzeki na wzgórzu położony jest właśnie Grabik.

Kilkanaście lat temu na tym miejscu szumiął piękny las grabowy. To książę Lubomirski chcąc sprawdzić marzenia swej córki w dniu jej imienin kazał zasadzić «zielony las». Obecnie z tego niegdyś pięknego lasu nie pozostało nic. Siecią szerokich i prostych ulic pocięto tę nową dzielnicę miasta.

Na grabiku znajduje się cmentarz prawosławny, młody park im. Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego. Mieszkają tu Polacy i Ukraińcy. Żydom nie pozwolono budować swoich domów. Stąd widzimy piękny obraz miasta. Wysoko w górę strzelają kopuły kościoła stylu gotyckiego i soboru prawosławnego stylu bizantyjskiego.

Główną ulicą Trzeciego Maja idziemy teraz w dół. Tu obejdziemy i zobaczymy to, co będzie nas najwięcej interesowało...

Dalszy ciąg opisu w następnym liście.

Sobików koło Czerska.

Trzydzieści kilometrów na południe od Warszawy, na lewym brzegu Wisły już ziemia przykryła ślady pierwszej historycznej stolicy Mazowsza. Jeszcze stoją samotne nagie mury zamczyska w Czersku i pustkami świecą w nowym, obcym otoczeniu kościoły kalwaryjskie. Ale ci, co kochają przeszłość, w tych stronach w każdej wiosce znajdą pamiątki z czasów świetności i upadku grodu czerskiego.

3 $\frac{1}{2}$ km. od Kalwarii, 4 $\frac{1}{2}$ — od Czerska stoi na wzgórzu malowniczy kościół drewniany w Sobikowie. Wewnątrz oglądamy ciekawy barokowy ołtarz starszy od ścian tego kościoła. Szczyt jest obcięty; widać nie mieścił się pod dach.

Mało jest drewnianych kościołów we wsi mazowieckiej. I to dzieło nieznanych artystów wsi z przed dwustu lat nie może być zapomniane.

A u stóp wzgórza ciągnie się łańcuch wydm piaszczystych, w których czasem znajdują wieśniacy przedhistoryczne narzędzia kamienne, świadczące o ludzkich osadach z przed tysięcy lat przed naszą erą.

(Materiały nadesłał A. Z., kl. VI-a.)

W klasztorze Kapucyńskim.

Dnia 23 stycznia (w niedzielę) Koło Krajoznawcze zorganizowało ciekawą wycieczkę do kościoła Przemienienia Pańskiego i do klasztoru O. O. Kapucynów.

255 lat minęło od rozpoczęcia budowy kościoła. Wystawił go król Jan III na pamiątkę zwycięstwa wiedeńskiego. Każdy zakątek świątyni przypomina dzieje króla, który umiał być wielkim rycerzem, budowniczym - artystą, a przede wszystkim chrześcijaninem, który, pozostał wierny tradycjom Polski jako «Przedmurza chrześcijaństwa».

W kaplicy królewskiej w sarkofagu spoczywa serce Sobieskiego. Niżej wyryto historyczny napis:

«Mikołaj I król Polski, Janowi III poprzednikowi swojemu».

Okres upadku Polski przypomina w tej samej kaplicy urna z wnętrznościami Augusta II Sasa i prochy rodziny Brühlów.

Z dawnego klasztoru został tylko chór klasztorny. Stała tu czas jakiś trumna Jana III. Przypominają o tym jego stare portrety na ścianach.

Wiszą tu także obrazy mistrza Czechowicza, jednego z pionierów malarstwa polskiego XVIII w. Malarz ten życie zakończył w klasztorze i tu, w podziemiach został pochowany.

Oglądaliśmy stare obrazy w klatce schodowej i długie klasztorne korytarze. Potem zeszliśmy do podziemi i eo kościoła dolnego.

Miedzy grobami Przeździeckich, Pocijów i skromnymi grobami zakonników smutno wygląda wielka, a ponura sala akademii.

Otwieramy dział zagadek fizycznych. Rozważać będziemy w nim i tłumaczyć sobie zjawiska dziwne, a często spotykane. Opiekunem działu jest p. prof. Karpowicz. Odpowiedzi należy składać na ręce redakcji. Za najlepszą pracę przeznaczona jest nagroda w postaci książki. Praca ta wydrukowana też będzie w następnym numerze «Promienia Szkolnego» Termin nadsyłania rozwiązań upływa 5-IV-b.r.

DZIAŁ ZAGADEK FIZYCZNYCH.

Dlaczego, oglądając na filmie ruch pojazdu, doznajemy niekiedy wrażenia, iż koła obracają się wstecz lub pozostają nieruchome?

Ze spraw aktualnych.

Rodzice nasi posiadają pewien przywilej.

Wolno im będzie należeć do Zarządu Koła Rodzicielskiego i do Zarządu Koła Przyjaciół Harcerstwa nawet wtedy, gdy ukończymy szkołę, czy będziemy zmuszeni przenieść się do innej. Należąc do tych kół, mogą i nadal pracować dla szkoły — od czasu do czasu przebywać w niej.

A przecież szkoła jest więcej «naszą» niż naszych rodziców!

Trudno nam uwieszyć, że za kilka miesięcy, za rok, czy za kilka lat drzwi naszej szkoły zamkną się za nami na zawsze. Że tylko przypadkowo w jakiejś określonej sprawie będziemy mogli przyjść na kilka chwil do szkoły i, czekając w hall'u wchłaniać znajome odgłosy mniej, lub więcej oddalanej przeszłości.

Rozumiemy, że zabawy szkolne muszą mieć swój specjalny charakter i że uczestnicy tych zabaw powinni stosować się do tego charakteru.

Nam chodzi o to, żebyśmy w przyszłości mieli jednak prawo brać udział w zabawach szkolnych.

Bo przecież nie chodzi wtedy o zabawę, a o «szkolną zabawę», o chwilowy powrót do minionej szkolnej przeszłości.

W. Stankiewicz.

«ZE WSPOMNIENÍ UCZNIA».

«Miłe spotkanie».

Jak daleko mogę sięgnąć pamięcią, to zawsze byłem uczniem. Nie znaczy to, że mam krótką pamięć, ale gdy miałem trzy czy też cztery lata, już byłem zatrudniony w zawodzie uczniowskim. Chodziłem do przedszkola. Gdy teraz przypomnę sobie te chwile — ... ach to był raj!

A teraz chodzę do gimnazjum, gdzie z klocków już się nie buduje kolei, natomiast można klockiem oberwać od «kogoś» (?) (na robotach).

Trzeba się także uczyć piętnastu przedmiotów. — Nie mam zupełnie szczęścia do przyrody. Nieraz, gdy cię nawet bracie w szkole nie ma, możesz z tej przyrody dwóję oberwać. Ot tak przez pomyłkę. Ja już tak kilka razy wpadłem. Ale raz to było fatalnie.

Nie poszedłem do szkoły; to znaczy z domu wyszedłem, ale akurat zdaje się ...coś tam z «niemca»... ...no i wogóle. Dość, że piękny wiosenny dzionek postanowiłem spędzić na łonie natury (jak to by powiedział jeden z moich kolegów, który kształci się na poetę). Narazie piszę prozą. Należy już jednak do przyjaciół P.A.L-u.

Kroki swe skierowałem oczywiście do parku Paderewskiego. Miałem trochę stracha, bo muszę się przyznać, że to dopiero pierwszy raz. Byłem wtedy w drugiej klasie. Późno zaczynałem. Co?

No i wszystko to tak się jakoś złożyło, że poszedłem. Trasy nie będę opisywał, każdy przecież zna. Wytknąłem nad stawem. «Łabędzie... bzy — mocny zapach jaśminu» i.t.d. i.t.d. Jednym słowem nastrój wiosenny.

Ze względów bezpieczeństwa osobistego, wynająłem łódkę; zawsze na wodzie bezpiecznie. Wjechałem sobie w zatoczkę. Słonko grzało. Fajnie było. «Burza» wcale nie nadciągała. Po półgodzinnej beczynności, zaczęło mi się nudzić. Właściwie poco tu przyszedłem? Pierwsze dwie lekcje przyroda, dalej roboty, ale prawda — później «niemiec». I to jeszcze «prüfen» (dla francuzów — egzaminować). Magiczne słowo. Wyobraźcie sobie, że z nudów począłem przeglądać łacinę, która Bóg wie jakim cudem znalazła się w teczce. Chyba rano byłem nieprzytomny. Rzeczywiście tak było... Wziąłem teczkę brata. Znalazłem tam na końcu jakieś polskie czytanki i stwierdziłem, że są one o wiele ciekawsze od tekstu łacińskiego, którego nawiasem mówiąc, wcale nie rozumiałem. Musiałem już łódkę oddać. Godzina minęła.

Z nad stawu skierowałem swe kroki pod pomnik tancerki i tam opalałem się spokojnie na słońcu. Wtem ciszę przerwał jakiś gwar, a potem... o dziwo, znajomy jakiś ryk. Nim się spostrzegłem, a tu nadciągnęła (gorsza od burzy)... moja klasa z dwoma p.p. Profesorami na czele. Powitanie było entuzjastyczne. Ten jeden profesor to by mnie nawet nie zauważył, bo choć już dwa lata mnie uczył, ale jeszcze nie znał. Nato miast drugi... ho... ho... ho...

Tłumaczyłem się; przecież wiedziałem, że tu przyjdziemy na wycieczkę, a z domu mam blisko (mieszkam akurat w drugim końcu miasta). Tego oczywiście nie powiedziałem. Co dalej było?... No — nic takiego. Trzy dni urlopu.

«Jot — Er.» kl. IV b.

Wydawcy: Uczniowie Gimnazjum Im. T. Czackiego.

Redakcja: Mitraszewski kl. I liceum, Stankiewicz kl. I liceum, Szomański J. kl. IV A, Brumer kl. III.

Komitet redakcyjny: Jaśkiewicz kl. I liceum, Sobkowicz kl. I liceum, Marczuk kl. IV A, Mioduszewski kl. IV A, Trzebiński kl. IV A, Gonerko kl. IV A, Izdebski kl. IV B, Uzdowski kl. IV A, Rybiński kl. IV B, Sobański kl. IV B, Makowski kl. III, Tyrawski kl. III, Balasiewicz kl. II, Trocewicz kl. II.

Administracja: Kaper kl. I liceum, Likiernik kl. III.

Rękopisów nadesłanych do Redakcji nie zwraca się.

Adres Redakcji i Administracji pisma: Warszawa, Kapucyńska 21.

Druk. Dz. Pr. W. Warszawa, Rakowiecka 37.

